• NALEŻYTOŚĆ POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM •

ŻYCIE

KULTURA

TYGODNIK

ROK I • Nr. 10 • 1933 ROK
RADOM, NIEDZIELA 17 GRUDNIA

RADOMSKI

SPOŁECZNE

SPRAWY

• CENA EGZEMPLARZA 25 GROSZY •

TYGODNIK RADOMSKI

ROK I. NIEDZIELA, DNIA 17 GRUDNIA 1933 R. NR. 10.



Zima Fot. Cz. Paschalski

DO OBYWATELI
o wrażliwych sercach

Lokalny Komitet Funduszu Pracy, którego dotychczasowe apele zawsze znajdowały głęboki oddźwięk, świadczący zarówno o dużem poczuciu obywatelskiem społeczeństwa tutejszego, jak i zaufaniu do Komitetu, dziś w obliczu ciężkiej chwili znowu zniewolony jest zaapelować do wyrozumiałości i wrażliwości ofiarnego społeczeństwa naszego.

Apel nasz jest krótki, ale wymowny.

Ze względu na przyspieszone, a dokuczliwe mrozy, które wywołały konieczną przerwę prac sezonowych, stanęliśmy w obliczu zwiększonego bezrobocia. Komitet wytęża wszystkie swoje siły i możliwości ażeby ten bolesny przejaw, zresztą ogólnoświatowy, jaknajbardziej złagodzić i przyjść rzeszom bezroboczych z pomocą.

Ale obok rzesz robotników bez pracy goszczącą w ich izbach nędza ujęła w swe nielitościwe szpony także dziatwę robotniczą, te najniewinniejsze ofiary obecnego kryzysu świata.

Setki i tysiące tej dziatwy w wieku szkolnym z braku wyżywienia i przyodziewku nietylko cierpi nędzę głodową, ale zmuszona jest do przerwania nauki.

Komitet Funduszu Pracy przedsięwziął akcję dożywiania dzieci w szkołach średnich i powszechnych i osiągnął już wydatne wyniki. Ale akcja ta jest niewystarczająca i przekraczająca możliwości nasze. To też Komitet za przykładem lat ubiegłych zwraca się do wrażliwych serc obywateli z serdeczną prośbą o okazanie mu pomocy przez wzięcie w każdej szlachetnej rodzinie choćby jednego dziecka na całodzienne wyżywienie.

Niema dziś takiego domu rodzinnego, któryby nie byłby w stanie dać łyżkę strawy cierpiącemu głód dziecku bliźniego.

Pamiętajmy wreszcie, że ta dziatwa, w której imieniu kołaczemy dziś do serc Waszych— to przyśli świadomi obywatele kraju. Od nas zależnem jest dzisiaj czy przez okazanie im drobnej opieki stworzymy przyszły zdrowy, zahartowany element społeczny, czy też z naszej przyczyny uczynimy z nich społeczeństwo skarłowaciałe i pomne na krzywdy dziecięctwa.

To stwierdzenie nie wymaga już dalszych próśb.

Czekamy na Wasz czyn!

Zgłoszenia przyjmuje Sekretarjat Komitetu, gmach teatru Żeromskiego tel. 31-02.

Przewodniczący Lokalnego Komitetu
Funduszu Pracy
ppułk. Stefan Jaźdżyński.

Wystawa przemysłu ludowego

Koło Polek ze współudziałem Kół Gospodyń Wiejskich powiatu radomskiego urządziło Wystawę Przemysłu ludowego, w lokalu Resursy Remieślniczej. Wystawa miała znaczenie propagandowe, organizatorom chodziło o zaznajomienie publiczności z rozwojem przemysłu ludowego i pobudzenie szerszego ogółu do popierania wyrobów lniarskich, które niewątpliwie przyczyni się do dobrobytu ludności wiejskiej, dotkniętej kryzysem. Dwie sale Resursy były zapełnione pięknemi eksponatami. W pierwszej sali Koła Polek można było oglądać piękne kilimy Wielichowskie o oryginalnych wzorach. Dywany miały uchwycone desenie z motywów ludowych, mniejsze posiadały wzory z kwiatów stylizowanych. Podziwialiśmy również artystyczne poduszki wykonane na wzór smyrneńskich. Z wyrobów wełnianych, wyróżniały się sieradzkie poduszki, laufry i torebki. Dział lniarski sprowadzony był z Lubelszczyzny, ładne były serwety w pasy kolorowe o harmonijnych barwach. Ceramika huculska ładna i tania była zupełnie wyprzedana.

Druga sala w całości urządzona była przez Koło Gospodyń Wiejskich, które wystawiło swoje eksponaty, własność jego członkiń. Ciekawy był dział strojów ludowych, noszonych w powiecie radomskim o ciemnych barwach. Oglądać można było charakterystyczne fałdziste spódnice, zapaski i fartuchy, gorsety, kryzy i bluski, o barwnych wzorach ludowych. Na ścianach porozwieszane były malowniczo antyki — chustki o deseniach wschodnich. Bogato był reprezentowany dział kilimów i chodników ludowych o żywych barwach. Na tle kilimów efektownie umieszczony sztandar K. G. W. używany przez organizację podczas uroczystości. Makatki haftowane i malowane odznaczały się bogactwem barw. Roboty ręczne, jak obrusy haftowane i serwetki były starannie wykonane. Dział lniarski, na który obecnie zwracamy największą uwagę, składał się z prześcieradeł, serwet i ręczników. Wyroby z drzewa wykonane były przez ucznia ze szkoły powszechnej z Wolanowa. Zwiedzając dział Koł. Gosp. Wiejskich musimy zaznajomić czytelników z ich działalnością na terenie pow. radomskiego. Wymieniona organizacja kobieca wznowiła swą działalność, gdyż przez dłuższy czas była pozbawiona siły fachowej. Obecnie pracuje gorliwie nad podniesieniem dobrobytu wsi polskiej walcząc usilnie z kryzysem rolnym. Koła G. W. dla ulepszenia gospodarstw prowadzą konkursy, warzywne, hodowlane i hygieniczne, jak również różnego typu kursy, a mianowicie: na jesieni: przetworów owocowo - warzywnych, dla jaknajwiększej propagandy konsumcji na wsi, owoców i warzyw. Podczas zimy kursy hygieniczne, oświatowo - gospodarcze dla pogłębienia wiedzy fachowej i ogólnej i poniesienia sztuki kulinarnej, tak upośledzonej wśród gospodyń wiejskich. Na wiosnę prowadzą kursy hodowlane. Wystawa K.G.W. dała nam pojęcie o dorobku kulturalnym tej organizacji kobiecej w naszym powiecie i o jej rozwoju i uspołecznieniu.

Z. Winnicka

OPJUM

Snują się dymy, słodkawe dymy,
Szczęścia nie było, snów nie wrócimy...

Szczęścia nie było, szczęścia nie będzie,
Szarą nić życia los nam uprzędzie,
Tą szarą nicią serce omota,
Ból je zabije, zdusi tęsknota

Snują się dymy, słodkawe dymy,
Szczęścia nie było, snów nie wrócimy....

Kwietnym kobiercem, zapomnień drogą
Do granic bytu duchy iść mogą,
Tylko nadziei zerwijcie pęta,
Niech was nie łudzi przyszłość zaklęta,
Niech jutro nowym czarem nie nęci
Dzień jutra będzie znów dniem pamięci.

Snują się dymy, słodkawe dymy,
Szczęścia nie było, snów nie wrócimy...

Przymknij powieki: w odległej dali
Małą iskierkę w pożar rozpali
Jedno twe tchnienie... W błękitnej chmurze
Zakwitną dawno czekane róże,
Zakwitną róże zapomnień kwiaty,
Świat się ubierze w krwiste szkarłaty,
W barw wirowaniu, w kwiatów orkanie,
Cichy bez tęsknot, duch twój zostanie.

Snują się dymy, słodkawe dymy,
Szczęścia nie było, snów nie wrócimy...

Snów nie wrócimy, sny się rozwiały,
Wystygło serce, znikły zapały.
Za jasnem jutrem w wiecznej pogoni
Myśl nasza gubi sen już wyśniony.

A jutro w dzisiaj zmienia się ciemne,
Wczorajsze skargi szepcze daremne..

Kołysz się kołysz, kołysko zwiewna,
Nad przepaściami wisisz niepewna,
Nad przepaściami wichr tobą miota,
W przepaściach drzemie wieczna tęsknota,
Ponad tęsknotę w gwiaździstą ciszę,
Wicher z zaświata ziemią kołysze,
W bezmiarze czasu, w światów bezkresie
Jak puch lekkiego wicher mnie niesie
Myśl ma uśpiona, bogom pokrewna,
Kołysz się, kołysz, kołysko zwiewna.

Kołysz się kołysz, kołysko moja,
Miecz z ręki wypadł, strzaskana zbroja,
Rozbita tarcza, złamane skrzydła,
Własna mi młodość w zaraniu zbrzydła,
Ostatnia życia zwiodła ostoja,
Kołysz się kołysz, kołysko moja....

Snują się dymy, słodkawe dymy,
Szczęścia nie było, snów nie wrócimy..

Z tamtego świata wiew mnie kolebie
I jużem odszedł zdala od siebie,
Już jestem ciszą, jestem gwiazdami,
Płynąc po świetle za memi snami.
Już powróciłem tam, skąd wyszedłem
Słonecznem złotem, księżyca srebrem.

I widzę szczęście, szczęście promienne
Pod moje stopy ściele się senne,
Ściele się senne pod stopy moje,
Szumią mi dźwięcznie błękitu zdroje,
Idę szczęśliwy po kwietnej łące,
Sto słońc mi zlewa blaski palące.

Obce mi życia krzyki i szały,
Obce mi czasu smutne podziały,
Obce mi wczoraj i jutra męki,
Do gwiazd nie wznoszę bezsilnej ręki,
Gwiazdy podemną, gwiazdy nademną,
Mój dzień zaginął z mą nocą ciemną
A nic mi szepcze swe tajemnice:
Na nic nie czekam, na nic nie liczę.
Snują się dymy, słodkawe dymy,
Szczęścia nie było, snów nie wrócimy....

Dym je tonami w górze się chwieje,
To co kochałem obojętnieje,
To co kochałem, to co marzyłem,
Zwiewa się lżejszym od dymu pyłem,
Po umajonej kwiatami drodze
Od siebie — męki w radość odchodzę,
Bądź pozdrowione w dole, niedole,
Kwietne, stubarwne, zapomnień pole.

Z przedświtowych mgieł,
z opalowych pian,
Idzie cieni rój,
wiedzie chwiejny tan,
Plącz się, plącz się, plącz,
zawrotami wstęg,
W nieruchomy takt,
w oniemiały dźwięk,
Plącz się, plącz się, plącz:
dookoła wkrąg
Zajaśniał mi splot,
dobrze znanych rąk.
Za mną płacze ktoś,
kogoś kryje dym,
Szepty wielkich cisz
drżą imieniem twem...
. . . .
Snują się dymy, słodkawe dymy,
Szczęścia nie było, snów nie wrócimy...

S. Malczewski.

ŻARŁOK

Obiad niby proszony, ale tak oficjalny, tak nudny, że muchy w locie zdychały a panująca cisza zmuszała do nader dyskretnego użycia szczęk: rozgryzienie najmniejszej grzanki tworzyło hałas.

Zaproszeni goście przeważnie wpatrywali się w nakrycia stołu, badając zawiłe linje ornamentów. Wszyscy z upragnieniem oczekiwali końca tortur. W pewnej chwili zauważyłem, że spojrzenia moich sąsiadów oderwały się od talerzy i utkwiły w jednym punkcie. — Podążyłem za niemi i już stale dotrzymywałem towarzystwa: mniej więcej pośrodku stołu siedział niepozorny osobnik i pochłaniał nieprawdopodobne i l o ś c i podawanych potraw.

W krótkim przeciągu czasu oczy wszystkich uczestników ponurego festynu ze zrozumiałem przejęciem śledziły wspaniałe wyczyny żarłoka. Ogólne zainteresowanie widocznie zaczęło krępować obserwowanego, gdyż na chwile odłożył nóż i widelec. Zaczął mówić.

— Proszę panów, ciekawy wypadek ocalenia życia dwojga osób przez dobrą kuchnię i łakomstwo miał miejsce w czasie francuskiej rewolucji. Otóż markiz i markiza de Luyne zostali aresztowani przez sankiulotów i osadzeni w więzieniu. Pozostały na wolności znakomity kucharz markiza, nazwiska jego historja nie zanotowała, nie opuścił swych chlebodawców i w nadzwyczaj ciężkich warunkach w dalszym ciągu przyrządzał najwykwintniejsze potrawy aby z resztkami ocalałej piwnicy regularnie odnosić do więzienia. Trwało to dość długo, gdyż dopiero termidor otworzył drzwi do wolności Ucieszonego wiernego kucharza spotkały gorzkie wymówki za porzucenie swego pana w najcięższych przejściach życia.

W tem miejscu opowiadania umiejętnie zamilkł, aby pauzą podniecić zainteresowanie, jednocześnie ujął odłożony nóż i widelec.

— Wyobraźcie sobie panowie, dozorca więzienny tak rozsmakował się w świetnych potrawach mistrza sztuki kulinarnej i w winach wspaniałej piwnicy markiza de Luyne, że z narażeniem własnego życia ukrywał go w celi i odwlekał z dnia na dzień wysłanie na gilotynę aż do termidora! Oczywiście żywił markiza i markizę strawą więzienną...

Po ostatnich słowach nie tracąc czasu zabrał się do jedzenia. Jednemu z sąsiadów przypomniało się równie cudowne ocalenie od śmierci. Drugi opowiedział jeszcze ciekawszy wypadek. Trzeci rozgadał się na temat wiktu więzień cywilnych, wojskowych i mieszanych. Nieoczekiwanie rozmowa stała się ogólną, jadalnię wypełnił gwar, poszczególne słowa dziesięciu rozmów jednocześnie toczonych z trudnością wyrywały się z donośnego szumu.

Niechcący spojrzałem na mego żarłoka: zapomniany, milczkiem, niepostrzeżenie, nabierał drugą olbrzymią porcję wyśmienitego kremu. Chytry wyraz twarzy zdradził, że znakomita kuchmistrz markiza de Luyne, nazwiska którego historja nie zanotowała, nie pierwszy raz wybawił go od obserwacji współuczestników nudnych bankietów.

WERB.

Co to jest religja?

W dniu 10 b. m. odbył się w Radomiu odczyt p. prof. Czarnowskiego p. t. „Co to jest religja".

Prelegent chciał w nim zawrzeć całą historję powstania religji i podziału jej na religje, chciał dać obraz wszystkich dróg, jakiemi kroczyła myśl ludzka w poszukiwaniu „prawdy", chciał doprowadzić słuchaczy do przeświadczenia, że religja i religje to są przesądy i autosugestja, że wolny człowiek nic ponad „wiedzę" nie uznaje, a irracjonalne tłomaczenie zjawisk przyrodniczych i błądzenie w tej dziedzinie irracjonalnych mocy w człowieku jest źródłem religji. Temat olbrzymi to też prof. Czarnowski chcąc dać zawiele, nic nam nie dał, bo tak zagmatwał się w szczegółach, że kilkakrotnie sam tracił wątek swej wyśli. To wyważał dawno otwarte drzwi racjonalizmu, to zwalczał Voltaire'a, który już chyba jest — dawno zwalczony, to sam przyznawał, że w człowieku jest i nim rządzi jakaś „siła uskuteczniająca", która nie podlega żadnym prawom i niczem się zwalczyć nie daje.

A mówił przy tem długo, bo odczyt zapowiedziany na godz. $3^1/_2$ po południu, zaczęty o 4 m. 10 — skończył się o 5 m. 45.

Na dyskusję zabrakło czasu, a i przedstawiciel władzy do dyskusji nie dopuścił, bo nie było „pozwolenia na dyskusję".

Była tam jednak rzecz inna — przy kupnie biletów rozdawano ulotki — w stylu dawnych proklamacyj napisane — i one to wyjaśniły o co właściwie, urządzającemu ten odczyt radomskiemu Kołu Związku Myśli Wolnej — chodziło.

W ulotce zupełnie jasno powiedziano że kto „nie chce płacić podatku kościelnego — niech występuje z kościoła" — a więc zawsze sedno rzeczy jest „wystąpienie z kościoła", w objęcia Związku Myśli Wolnej — który da ci to wszystko czego dusza zapragnie — bezpłatnie, bo posiada tajemnicę zdobywania funduszów na druki i afisze, na sale i prelegentów — bez współudziału twej kieszeni.

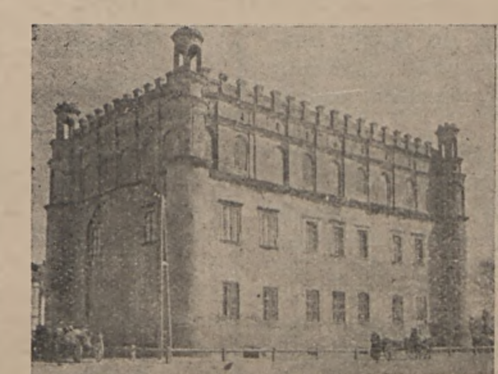
Obietnice kuszące!

Czy na długo starczy tej bezinteresowności?

Czy wolnomyślicielstwo da ci rozwiązanie palących zagadek bytu? czy wytłómaczy ci głęboki sens życia i cierpienia? czy zadowoli twe dążenia do piękna, prawdy i dobra — to już wolnomyślicieli nie obchodzi. Z radością jednak konstatujemy, że wśród nielicznej garstki słuchaczy większości stanowili poczciwi katolicy. Widocznie robota antyreligijna obudziła ich czujność. To jedyny plus odczytu.

Marja S.

Ratusz Szydłowiecki



Renesansowy ratusz fundacji Szydłowieckich wybudowany w początkach XVI wieku został zniszczony w pamiętnym 1812 roku przez Austryjaków. Odbudowano go, zresztą nieudolnie w 1829 r.

TYDZIEŃ ŚWIATA I TYDZIEŃ RADOMIA

PROJEKT NOWEJ KONSTYTUCJI

W dniu 14 b. m. o godz. 10-tej rano w sali Towarzystwa Higjeny w Warszawie przy ul. Karowej 11, rozpoczęło się plenarne posiedzenie klubu posłów i senatorów BBWR, poświęcowe omówieniu zagadnień konstytucyjnych.

Posiedzenie otworzył prezes Władysław Sławek i po załatwieniu kilku spraw formalnych oddał głos wicemarsz. Stanistawowi Carowi, który w trzy godziny trwającem referacie, słuchanym przez licznie zgromadzonych posłów i senatorów z niesłabnącem zainteresowaniem, przedstawił obszernie podstawy projektu reformy ustroju państwowego.

Referat swój rozpoczął wicemarsz. Car od przedstawienia historji i tez obecnie obowiązującej konstytucji marcowej, wyrażając przekonanie, iż powstała ona ze staroszlacheckiego hasła „Polska nierządem stoi".

Następnie omówił główne zasady projektu nowej reformy państwowej.

Ogólnie — projekt zmierza do wybitnego wzmocnienia władzy Prezydenta, który ma być czynnikiem nadrzędnym nad rządem, sejmem, senatem, kontrolą, samorządem.

Do osobistych uprawnień Prezydenta należy:

1) mianowanie i odwołanie prezesa Rady Ministrów, pierwszego prezesa Sądu Najw., prezesa Najw. Izby Kontroli i szefa kancelarji cywilnej.

2) mianowanie i zwolnienie głównego inspektora sił zbrojnych i naczelnego wodza.

3) wskazywanie kandydata na prezydenta R. P.

4) powoływanie sędziów trybunału stanu i senatorów.

5) rozwiązanie Sejmu i Senatu,

6) zarządzenia o oddaniu członków Rządu pod sąd trybunału stanu,

7) akt łaski i pieczy prawnej,

Kandydata na Prezydenta R. P. wybie a zgromadzenie elektorów złożone z marszałka senatu, marszałka Sejmu, prezydenta R. M. pierwszego prezesa Sądu Najw. jeneralnego inspektora sił zbrojnych, oraz elektorów wybranych z pośród obywateli najgodniejszych w liczbie 50-ciu przez sejm i 25 przez senat.

Ustępującemu prezydentowi R. P. służy prawo wskazywania swego kandydata.

Jeżeli ustępujący prezydent R. P. skorzysta z tego uprawnienia, wyboru prezydenta dokonują obywatele w głosowaniu powszechnem z pomiędzy dwóch kandydatów: zgromadzenia elektorów i ustępującego prezydenta P. R.

Jeśli zaś ustępujący prezydent R. P zgadza się z wyborem zgromadzenia elektorów, kandydat zgromadzenia uznany zostaje za obranego na prezydenta R. P.

Okres urzędowania prezydenta R. P. trwa 7 lat, w razie wojny przedłuża się do upływu trzech miesięcy od zawarcia pokoju.

●

GDAŃSK TWORZY REGULARNĄ ARMJĘ

O organizacji niedawno utworzonej w Gdańsku policji krajowej dowiadujemy się następujących charakterystycznych szczegółów.

Policja krajowa składa się dotychczas z sześciu kompanji po 100 ludzi. W najbliższym czasie ma ona być zwiększona do 10 kompanji po 250 ludzi.

Oddziały policji krajowej nie są używane do służby bezpieczeństwa (!), lecz są skoszarowane w dawnych koszarach armji niemieckiej we Wrzeszczu i szkolone w kierunku czysto wojskowym.

Dwustu członków policji krajowej wyjechało w tych dniach wraz z 15 członkami bojówek hitlerowskich oraz 5 sanitarjuszami do Prus Wschodnich do Iławy, gdzie zostaną przeszkoleni przez instruktorów Reichswehry w obronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej oraz w obsłudze artylerji zenitowej i ciężkiej.

Na czele policji krajowej stoi płk. Bock, b. oficer sztabu generalnego Reichswehry a następnie czarnej Reichswehry.

A no... rozbrojenie!...

DROBNE SPRAWY I DUŻY OBJEKT

Zainteresowany wzmianką w prasie codziennej o rychłem przeniesieniu jednej ze szkół powszechnych radomskich do nowej siedziby — baraku szkolnego w Starym Ogrodzie odwiedziłem ten nowobudujący się barak, budowany jak wiadomo z funduszu pracy.

Barak z zewnątrz prezentuje się wcale dobrze. Duże okna, ładne wejście, niebrzydki kształt

Wewnątrz—osiem dużych sal szkolnych, rozdzielonych na dwa rzędy długim kuratarzem, szerokim, wysokim, wygodnym, zakończonym niewielkich rozmiarów dziewiątą salką jak się należy domyślać — gabinetem.

W korytarzu razi wystający rząd umywalni. Ani to bezpieczne z uwagi na temperamenty młodzieży, ani też estetyczne.

Wewnątrz budynku poza wspomnianemi dziewięcioma salkami—inna rzecz, że przestronnemi, widnemi — niema żednej ubikacji gospodarczej, ani też takiej zwykłej ubikacji...

Dla dzieci budują się szalety na podwórzu. Droga z klasy do ubikacji i z powrotem (zresztą nieopalanej, jak mnie informują) wynosi na oko 200 m.!

Te rozważania nasuwają mi się z uwagi na to, że zwiedzałem budowę przy 12^0 mrozu. Dla drobnej dziatwy niebezpieczna podróż.

Wydaje się błędem również i to, że w planie budowy nieprzewidziano locum dla dozorcy szkolnego.

Może się to jeszcze naprawić, aczkolwiek należy żywić uzasadnioną pretensję do twórcy planu i budowniczego, że tych rzeczy nie przewidział.

W każdym razie szkolnictwo radomskie zyska dużo. Szkoda tylko że takie drobne sprawy nie zostały uwzględnione, a mogły być i powinny nawet skoro kredyty zostałe uzyskane na budowę b a r a k u s z k o l n e g o.

B.C.

◆

GAZY... GAZY...

Jeśli idzie o teren radomski to niema instytucji, któraby tak gruntownie s z k o l i ł a się w znajomości zagadnień przeciwgazowych jak kasa chorych.

Od szeregu miesięcy pracownicy kasy uczęszczają na wykłady — z egzaminami i solidną pracą, a ostatnio słychać, że zostaje organizowany kurs dla kasy chorych.

Słusznie!

◆

KULTURA

W Radomiu czynione są intensywne starania o powołanie do życia stowarzyszeń popierania bibljotek i czytelnictwa oraz przyjaciół teatru.

Na tym odcinku pracy społeczno-kulturalnej mogą się spotkać wszystkie zabarwienia polityczne i społeczne, można więc sądzić, że ten wysiłek kulturalny przyniesie rezultaty.

PAWEŁ KLIMCZUK

ŚLADAMI OSTATNIEGO KRÓLA

(REPORTAŻU CIĄG DALSZY)

IV.

Dla upewnienia się, czy przypadkiem nie zadaleko zaszliśmy już w Kozienicach, należy na skrzyżowaniu ulic 11 Listopada i Warszawskiej przystanąć i obejrzeć się na prawo i lewo oraz za siebie. Można to powtórzyć swobodnie kilka razy, a jeżeli kto woli, nawet kręcić się w kółko przez czas dłuższy. Nie przeszkodzi to zupełnie w ruchu ulicznym, bo go właściwie niema i dlatego to w Kozienicach na skrzyżowaniu ulic niema policjanta do regulowania ruchu. Na samym środku jezdni stać można godzinami całemi spokojnie nawet na głowie, nim ktoś spieszący się flegmatycznie odsunie cię macierzyńskim ruchem na bok i powie grzecznie:

— Nastąp pan...

Bo kto tu właściwie chodzi. Rano garstka urzędników do biur i dzieci do szkoły. Czasem jakaś „pomocnica domowa", egzekutor lub komornik. Zwłaszcza w zimie. Odmienniej bywa w lecie. Ale tylko wieczorem i wtedy kiedy księżyc świeci. Osobny okres „rozruszania się" Kozienic wypada na czas, kiedy w parku pałacowym zaczynają śpiewać słowiki. Wtedy snują się pod cieniem rozrosłych wiązów i kasztanów przytulone do siebie pary, unikające starannie jaśniejszych smug księżycowych i ciekawych oczu swych bliźnich. Czasem, za taką parą mignie sylwetka ostrożnej mamy, która kroczy z zagadkowym uśmiechem na ustach dostojnie i oblicza, ile to metrów 'płótna trzeba będzie kupić na wyprawę córki a ile barchanu na.. pieluszki. (Oczywiście barchan nie w prążki, bo ten odgniata młode ciałko). W kalkulacji nigdy nie za wiele przezorności.

Zdarza się, że niekiedy przechodzi tamtędy policjant. Ale to są ludzie zimni. Skoro tylko zauważy taką parę, naciąga pospiesznie podpinkę od czapki pod brodę i mówi że jest „na służbie". Zbytnia troskliwość — obejdzie się...

Entuzjastami młodych par są zazwyczaj emeryci — romantycy. Cierpliwie drepce taki pan krok w krok, wysuwa nieznacznie koniuszek języka i... zwilża wargi. Przyłapany, miesza się na moment i usprawiedliwia się:

— Bo to proszę pana... ta dzierlatka... Cóż to za nóżki ..

Gorzej bywa z miejscowemi synami Muz. Ci kroczą pochmurni, rozdygotani nahałem obrazów i dobierają rymy: miłość — złość, wargi — skargi, namiętny—zgwałcony—stracony—zgubiony i t.p.

W onym czasie, przemijającym oczywiście, jak wszystko na świecie, bywa w Kozienicach ruch — prawie taki sam w dni targowe.

Dzień targowy wywraca porządek domowy i społeczny do góry nogami. Chytre „panie domu", skoro tylko wstaną z ciepłego łóżeczka, już kombinują, kiedy to lepiej iść na targ: wcześniej, czy później, — bo to moja pani:...

— Rano było masło o 10 gr. droższe.

— Ja — tam nie mam zwyczaju, tak bardzo — rano...

— Dlatego, wygrała pani...

— A jak tam z jajkami?

— Jednakowo, moja pani... Zdarzają się, i nieświeże...

Tu następuje dyskusja, u kogo lepiej kupować: u chłopów, czy u bab. Zdania bywają podzielone. Często zwycięża pogląd, że u mężczyzn lepiej kupować, bo mniej się targują. Największy ścisk bywa przy sprzedających masło.

— Moja pani — nakosztowałam się tyle, że już smak zgubiłam...

— Będzie pani miała zapas na cały tydzień...

Ale słowa ostatnie wpadły już w tłum, który zdeptał je nogami, bo przyjaciółka już dawno odeszła, gdyż zauważyła „tanie kogutki". Te same wargi, które może niedawno pieściły męża lub dziecko, układają się teraz w tulejkę, bo należy koniecznie „podmuchać" koło ogona kogutkowi, czy jest doskonale tłusty. Harmider, przewalanie się fali kupujących i sprzedających na chodniki i na ulicę. Bek samochodu. Jeszcze tego— brakowało! . Poderwanie się nagłe młodszych i dostojny odwrót z jezdni starszych... Może poczekać... Nie widział kto samochodu?... Pi..

Miniaturowy rynek kozienicki dyszy, rzęzi, postękuje jak przy młocce. Nędzne kramiki i miniaturowe sklepy ożywiają się.

— Dobry dzisiaj targ?

— Na oko... Bo kto dziś kupuje?...

— Przecież artykuły pierwszej potrzeby, jak sól, zapałki, tytoń, nafta...

— Tak się wydaje tylko, że to idzie... Soli dziś używają najmniej i to tylko „czarnej", bo tańsza. Zapałek nie kupują. Ognia sobie pożyczają; wyznacza się jedną chałupę codziennie, która ma „dyżur" i podtrzymuje ogień dzień i noc, skąd rano po węgielku zabiera cała wieś... W Przydworzycach, — no za Ryczywołem — do pierwszych mrozów podtrzymywał ogień dla całej wsi pastuch gromadzki... Mówią, że to znacznie taniej kalkulowało się, niż kupowanie zapałek...

— Bujda — panie!

— Zupełnie prawdziwe, abym tak...

— Nie przysięgaj się pan... A tytoń?

— Starzy nauczyli młodych „mieszanki wojennej" z liści buraczanych, kukurydzianych i t p. A zamiast nafty —panie „szczypki" w użyciu, jak za Piasta.

I cóż z tego, że cały plac Żwirki za kościołem (tam, gdzie ma być ogród spacerowy) zawalony furami i że pełno tych fur na przyległych ulicach?... Rozjadą się niebawem do domów bez tego animuszu powrotnego, jaki cechował ongiś każdy odjazd z targu...

To też wcześniej niż zazwyczaj pustoszeją ulice i pomału leniwy spokój i czubaty smutek, jak skończone wałkonie, układają się na progach domów, którędy przed chwilą wchodzili i wychodzili ludzie...

— A ta ulica?

— 3 Maja. Ładna, prawda. Ocieniona kasztanami, prosta — no i ten pałacyk na prawo? Może stanąć przy najładniejszej ulicy nawet w Radomiu..

— Tak — zupełnie się zgadzam...

A tam dalej — druty kolczaste przy takiej ładnej ulicy i niedaleko tak pięknego dworku? Nie sądzę, aby to był obóz koncentracyjny! Przecież to Kozienice a nie Dachau.! I jak wy tędy chodzicie?

— Chodzimy bardzo ostrożnie.. Te druty kolczaste, sędziwe zardzewiałe, skrzyżowane misternie i sięgające na wysokość 2,5 m. — to ogrodzenie więzienia naszego. Zabytkowe zarchaizowane umyślnie dla potomnych.. Proszę wolniej! Ostrożnie!...

— Psiakrew, ostatnie spodnie...

— Głupstwo, zaszyje się...

— Ba, kiedy i tak już nicowane i pozszywane w „kratkę"...

— Żałuję namocniej... ale pan nie pierwszy i nie ostatni...

— Idę na posterunek, spisze się protokół, że coś podobnego może jeszcze istnieć i to w środku miasta, a w dodatku przy ulicy, na pamiątkę sławnej konstytucji...

— Niech się pan nie gniewa. — I tak konstytucja będzie zmieniona a co do tamtej — prawie za druty... Na posterunek jednakże z panem nie pójdę, bo nie chcę za temi drutami sadzić morwy... Niech pan zobaczy — rzędem posadzone są morwy... Uczynili to więźniowie. Widzę, że pan po tej przygodzie ze spodniami zbytnio ostrożny. Może pan śmiało dotknąć tych drutów, gdyż zaręczam, że nie przepływa przez nie żaden prąd elektryczny... Niema napięcia ani jednej Volty. Proszę... bardzo.

— Masz!. Niechże to djabli wezmą... Rękaw...

— Ah — jaki pan nieostrożny... Szkoda rękawu, istotnie dobry jeszcze... Proszę, niechże pan nie ucieka... Hallo... Trudno, pójdę sam.

Ale mimowoli poszedłem za moim rozmówcą. Skręcił z ulicy Brzósskiej na ulicę Sienkiewicza. Uśmiechnąłem się, bo zauważyłem, że kroku zwolnił i ciężko wyciąga nogi za sobą. Doszedłem spokojnie i zrównaliśmy się znowu.

— A to ca ulica?

— Sienkiewicza.. Prosta, co? Szeroka.

— Czy Sienkiewicz ją widział kiedy?

— Nie — to już po jego śmierci...

A czemu pan pyta?

(d. c. n.)

NOC BEZSENNA

Jedne dnie niepotrzebnie dłużą się, drugie są tak rozpaczliwie krótkie. Nierówny jest bieg godzin. Jest, bo dopiero w odległej przeszłości chwile nabierają wymiaru, już ujednostajniona wstęga czasu nawija się na szpule minionego życia, aby określoną wielkością ułożyć się pod kamienną płytę, pod napis: urodził się.. umarł...

Stoimy pod kaskadą wieczności, drobnymi kubkami tysiącoleci ledwie zdążymy zmierzyć parę okresów i już giniemy w nieznanym żywiole, w nieznanej otchłani.

Miljardy serc cichem biciem liczą każdą chwilę, bicie miljardów serc policzone w jedną chwilę da tysiąc lat.

A noc bezsenna ma w sobie coś nużącego z wieczności, cień niepojętego ogromu i przestrach nieskończoności.

Na dworzu słota, wiatr. Noc rozgadała się dziesiątkami głosów.

Monotonnie dzwonią krople w blaszanych rynnach.

Łopot blach na dachach pod naporem przewilgłego wiatru.

Równomierny szloch jakichś nieznanych, dalekich, niezamkniętych drzwi.

Moje serce bije.

Wszystkie głosy miarowo coś liczą, powstaje strach przed nieznaną sumą, tą sumą wydłuża się noc bezsenna.

Jeden z moich znajomych często mówi: po nocy następuje świt. Bezmyślnie powtarzam jego bezmyślne słowa, odsuwam niemi wgłąb mózgowych komórek niespodziane pytanie: czy doczekam się świtu?

Blasków... promieni... słońca... skrzeń... rozświetleń... światła...

Tak ciemno...

Gdy byłem mały stara niańka usypiała mnie opowiadaniem bajek. Jej proste słowa szeptane bezzębnemi ustami, dla mnie mieniły się wszystkiemi kolorami, gdy wymawiała: raz ptak — ciemny pokój zalewała jasność.

Bajki chcę. Trochę jaśni choćby kłamanej. Bajkę chcę opowiedzieć. Kiedyś, w gwiaździstą noc, ktoś mnie o bajkę prosił. To było tak dawno. I tak daleko. Chciałbym napisać spóźnioną bajkę... dla siebie...

Moja pierwsza książka geografji; na pierwszej stronie był rysunek: pośrodku jasne promieniejące słońce, wkoło po elipsie krąży ziemia i zależnie od położenia coraz to inna część pogrąża się w cieniu, coraz to inna część zwraca się ku słońcu. Pamiętam, że to małe kółko, wyobrażające ziemię, wcale mnie nie zainteresowało. Palec poplamiony atramentem utknął między ziemią i słońcem, tam chciałem być, tam umieściłem krainę bajki, krainę nieciemniejącego światła.

Zaczynałem uczyć się geografji. Teraz nawet niewiem gdzie szukać krainy bajki. Jak wtedy mam palce poplamione atramentem, już umiem geografję, tylko na zawsze zgubiłem drogę do bajki.

O prawdziwą bajkę o rzeczywiste kłamstwo teraz tak trudno. Całe życie rozpełzło się w fałszywej prawdzie.

Chciałbym zacząć słowami mojej starej niańki, która w wybladłych oczach zaniosła na tamten brzeg taki inny świat od tego, jaki ja w swoich uniosę...

Za siódmą górą, za siódmą rzeką... Puste słowa bez treści. Jesteśmy ubodzy, nie mamy nic, dla nas nawet przestrzeń nie istnieje.

Więc o czem mówić?

O szklanej górze? Na największe góry akcyjne towarzystwa budują kolejki zębate, linowe, wożą tam i z powrotem paralitycznych turystów. W księżycowe noce taksa podwójna.

O śpiącej księżniczce? Nie trzeba budzić księżniczek śpiących w gumowych maskach, wysmarowanych gold cream'ami przypudrowanych. Niech śpią, niech nie straszą. Oh wy, smutne księżniczniki poste restante'owe grzeszące bez rumieńca, naiwnie pobladłe na widok jednej podejrzanej krostki...

Gdzieście wy, gdzie, księżniczki renesansowe!

O dywanach samolotach? Widziałem je dziesiątkami zawieszone na błękicie, w niemilknącym warkocie motorów. W dole huk piekielny setek centnarowych pocisków, gryzący pył wiekami zeskalonego wapna, stary świat trząsł się i walił, ostry zapach gazów, szarpanina ludzkiego mięsa, w górze niebo haftowane w tysiące szrapnelowych obłoczków, łoskot i świst, obłokowy trajkot mitraljez...

O cudownem lusterku? Ponad oceanami przebiegają obrazy i kładą się na ekrany. Przestrzeń mówi...

O czapce niewidymce? Niewidzialne stało się widzialnem, widzialne — niewidzialnem. Życie nabrało cech bajki bajka umarła w rzeczywistości. W każdym z nas bajka umarła, każdy z nas był na jej pogrzebie. Jazz band grał marsza żałobnego w tempie trzy ósme.

Był sobie król.

Po co mam udawać, że mówię bajkę, gdy wszyscy wiedzą, że był król portugalski, król grecki, król saski, król hiszpański, bardzo wielu królów. Byli, przeszli.

Ostatnia królewna wyjdzie za porucznika gwardji republikańskiej.

Ktoś krzyknął w ciemnej ulicy, krającej niebo ostrymi gzymsami na wąskie paski: wolność, równość, braterstwo...

Tak lekko upadły wysokie trony... potoczyły się złote korony i spoczęły w muzealnych gablotach.

Wolność...

Oh weźcie mnie na łańcuch, uwolnijcie od biegu przed śmiercią, od życia. Niechaj mnie nie gna tęsknota istnienia ciemnemi nocami po zamarłych ulicach miasta, pośrodku murów mówiących w skrzyżowaniu spojrzeń oślepłych okien. Niechaj nie patrzę codzień na tarczę słońca, budzącego nowy dzień... czy nowy?

Równość...

Odbierzcie mi to co wiem, tak mało a zawiele. Zrównajcie mnie z najciemniejszymi, najniższymi, niechaj będę tak bogaty niewiedzą, jak dzisiaj jestem ubogi poznaniem. Niechaj nie rzucam w siebie pytań niepewnych, niechaj nie czekam daremnie odpowiedzi, niech nie mówi mi nic milczenie...

Bratestwo...

Mam to tylko, co dałem. Nie dajcie mi nic, nie zubożajcie mnie...

Tłum krzyknął: chcemy tworzyć nowe życie i zaczął zabijać.

Na ulicę wyszli niewolnicy wolności. Ktoś śmiał się aż do zachwytu, aż echo grzmiało i będzie grzmieć w spiętrzeniu wieków.

Ktoś krzyczał: chleba i pracy!

Podobno praca może być przyjemnością. Pracować wolno tylko osiem godzin, żebrać choćby dwadzieścia cztery.

Rozbijcie zegary. Życie nie mieści się w godzinach, życie kipi w bezmiarze czasu.

Na początku był czas — jesteśmy nieporozumieniem czasu.

Był sobie król...

Ależ nie: na głowy prezydentów nałożono święty cylinder, dający osiem błyszczących refleksów.

Tłum ryczał: niech żyje!

Będziecie go nosić na wszystkich uroczystościach, a tych uroczystości będzie wiele, bardzo wiele. Porównanie dnia z nocą, nocy z dniem, dzień krótszy od

nocy, noc dłuższa od dnia, rocznica dnia dzisiejszego, stulecie jutra, bo każdy dzień ma swoją rocznicę, ma swoje stulecie, tysiącolecie. Jak mroczno się robi nad otchłanią czasu.

Urzędowy śpiewak piał donośnie: odbiło się słońce w cylindrze.

Ile republik — tyle cylindrów, ile cylindrów — tyle republik.

Cylinder i korona — korona i cylinder.

Cylinder zwyciężył koronę. Pod czerwonym sztandarem wzniósł się nad paryskie barykady i w dźwiękach marsyljanki cały świat zmierzył tryumfalnym pochodem. Jak korony spłynął krwią, odziedziczył przywileje.

Może będzie dziedziczny cylinder.

A więc: będzie sobie... król, nie król... w cylindrze...

Przecież nas uczono: liczebność izb ustawodawczych zależna jest od stopnia uświadomienia ogółu obywateli.

Cyfrę czterystu od trzystu dzieli tylko parę procentów analfabetów. A potem będzie dwustu... stu... czterech... trzech... dwuch... od dwuch do jednego — jeden krok.

Aż wreszcie, wreszcie uświadomieni nie będą potrzebowali praw.

Wrócimy tam, skąd wyszliśmy.

Był sobie król — lud... a może on będzie?

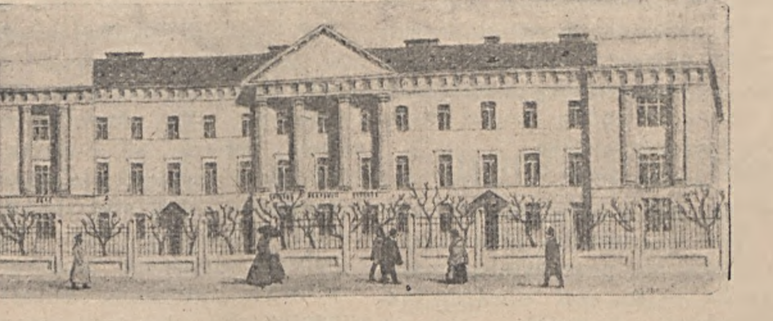
Gdzie wszystko jest możliwe czy możliwą jest bajka?

Bezradne składam słowa, chcę jeden promień złożyć w ciemni bezsennej nocy. Ledwo słowo legnie na papierze — już staje się bezdźwięczne szarzeje.

Za pękniętą szybą kury pieją.

Boję się każdego nadchodzącego dnia. Chciałem napisać bajkę.. *MALCZ.*

HISTORJA JEDNEGO GMACHU



„Gubernia" w roku 1847

Starostwo powiatowe — starostwo grodzkie — dyrekcja lasów państwowych — urząd skarbowy podatków i opłat skarbowych – powiatowy urząd ziemski - 2-gi urząd skarbowy — kasa skarbowa — archiwum państwowe — oto urzędy, które mieszczą się w gmachu przy ulicy Żeromskiego 53.

Tu w gmachu starostwa ogniskuje się większość urzędów Niepodległej Polski, a ongiś...

W roku 1825 namiestnik ks. Józef Zajączek położył kamień węgielny pod budowę gmachu dla komisji wojewódzkiej, a jednocześnie został spisany dokument o tej treści:

„W dniu dzisiejszym t. j. 5-go lipca 1825 r. za panowania Najjaśniejszego Aleksandra I, cesarza Wszech Rossyi i króla polskiego, J. O. Książe Józef Zajączek, namiestnik królewski, otoczony urzędnikami władz wojewódzkich województwa sandomierskiego, jako też urzędu Municypalnego miasta Radomia i licznie zgromadzonej publiczności, raczył własnoręcznie położyć kamień węgielny gmachu tego, podług planu pana Corazzi, kosztem publicznym, pod dozorem p. Stefana Balińskiego, Adj. Budow. budowanego, którego to aktu uroczystego dla najpóźniejszej pamięci protokuł niniejszy został spisany, wraz z monetami Królestwa Polskiego w roku 1825 wybitemi, mianowicie: 1-ną sztukę złotą wartości 25 złp., 1-ną sztukę srebrną — 10 złp., 1-ną sztukę srebrną — 2 złp., 1-ną sztukę srebrną — 1 złp., 1-ną sztukę srebrną — 1 gr. pol., 1-ną sztukę miedzianą — wartości 2 gr. pol. w puszce ołowianej na to przysposobionej i wmurowany został (podpisano) Zajączek".

W taki ci to uroczysty i szlachetny sposób zapoczątkowano budowę dzisiejszego starostwa.

Zwłaszcza ten zwyczaj kładzenia ołowianej puszki z monetami, powinien być koniecznie zachowany. Buduje ktoś dom — niech kładzie pod kamień węgielny — banknoty i monety, a wówczas i w podatkach nie będzie zalegał, bo w każdej chwili specjalnie tresowane jamniki z urzędu skarbowego w zębach ową forsę za pokwitowaniem przyniosą do kasy.

Piękne dawniej, były zwyczaje!

A jednak bądź co bądź ciekawe, jak te pieniądze pod fundamentami się zakonserwowały!...

Minęło lat kilkanaście, Radom z miasteczka liczącego w owym czasie 4.302 mieszkańców — staje się miastem gubernialnem w roku 1837, a ukazem cara Mikołaja I — w dniu 21 sierpnia 1844 gubernia sandomierska zostaje połączona z gubernią kielecką pod nazwą guber radomskiej.

Radom rośnie w pychę i wielkość!

Gmach przy ulicy Żeromskiego 53 — jest siedzibą urzędu gubernialnego.

Tu rezydują jeden po drugim mo'nowładni, despotyczni „gubernatorzy" — dławiący polskość wszelkiemi siłami.

Gmach ten strzeżony pilnie przez kacapskich żołdaków był symbolem ucisku i przemocy.

Karta historji się odwróciła.
Radom witał wolność!!

Opuścił „gubernię", tak bowiem zwał się popularnie gmach dzisiejszego starostwa — ostatni gubernator.

Dziś w gmachu przy ulicy Żeromskiego 53 mieszczą się polskie urzędy.

Tam, gdzie ongiś język polski był parjasem, ściganym przez moskala—dziś króluje wolność.

Poruszają się setki piór urzędniczej armji w dziesiątkach kancelarji, stukocą nerwowo Remingtony i Underwoody — armja pracy wykonywa codzienne zajęcie którego nie zakłóci żadne wspomnienie o czasach — gdy w gmachu tym „czinownik" Wschodu przemyśliwał nad zatraceniem „miatieżniczewo" ducha polskiego. **m.**

I. ROLICZ

PORUCZNIK i JEGO PIES

NOWELA

IV

Ach mniejsza z tem, ale jakie pieszczotliwe — mówiła panienka, siadając na kanapie i pochylając na oparcie cudownie zaondulowaną główkę. — Nie wyobraża pan sobie jak to przyjemnie kiedy przyjdzie do mnie i ocierając się mruczy z rozkoszy i wpija swe pazurki w ubranie, tak że czuję je na swej skórze... mam nawet ślady... co za miłe uczucie. .

— Jaka pani dziś śliczna — szeptał porucznik pochylając się i zaglądając panience w śliczne lazurowe oczy ocienione bujną czarną rzęsą.

— O czy tylko dziś, panie poruczniku?... — zapytała przekornie.

— O zawsze śliczna i jedyna, ale dziś... kochana, bardzo kochana... no powiedz... niech jeszcze usłyszę, że mnie kochasz, że to nie jest snem...

— Mówiłam dziś trzy razy.

— To mało, chciałbym słyszeć sto razy, tysiąc...

— Och nie starczyłoby mi sił ciągle powtarzać jedno i to samo... no i przestałoby być zabawne.

— Zabawne? — powtórzył porucznik.

— Ach, ale ja już muszę iść... bo naprawdę drżę cała ze strachu, gdyby tak papuś dowiedział się, że ja tu jestem... ha ha ha zastrzeliłby mnie i pana... o on jest strasznie zacofany ten mój staruszek...

— Widziałem jak pan pułkownik wyjeżdżał samochodem, nie prędko pewno wróci... Nie nie odchodź jeszcze, proszę, no błagam.. Pomówimy o tem, jak to będzie po ślubie. Zamieszkamy sobie w tym moim niewielkim mieszkanku, ale i tam potrafimy być szczęśliwi prawda?... Zobaczysz maleńka jak nam będzie dobrze razem... polubisz Ralfa, to taki kochany pies... — mówił porucznik tuląc do siebie giętką postać dziewczyny.

— Ach doprawdy, — zniecierpliwiła się nagle panienka — ciągle z tym psem, uważam, że musisz się go pozbyć, no bo pomyśleć tylko... na dwa pokoje — nas dwoje i pies... fe.. Papuś miał psa, taki był nieznośny... mama i ja chorowałyśmy od ciągłego szczekania, aż nareszcie pozbyłyśmy się go...

— Ulokuję psa w kuchni:..

— Ależ za nic się nie zgodzę, czy nie słyszysz jak się dobija do drzwi.. ryczy ten potwór jak lew! I naraz stała się rzecz zupełnie nieoczekiwana, Ralf poruszył niechcący łapą klamkę i otworzywszy drzwi puścił się jak strzała przez sień i wpadł do pokoju niczem huragan. Nim porucznik zdołał zapobiec, Ralf przypadł do przerażonej panienki i pochwyciwszy zębami za suknię pociągnął z pasją i oberwał spory kawał materjału ukazując pięknego kształtu nogę, opiętą w jedwabną pończochę z cielisto-różowym brzegiem podwiązki u góry...

Porucznik rzucił się na Ralfa z wściekłością i przytrzymując go za obrożę, walił jak w bęben pochwyconą naprędce poduszką z kanapy.

Pies jęknął raz i drugi, wreszcie wyrwał się i skamląc uciekł do swego legowiska gdzie ulokował się długo wzdychając od czasu do czasu rozdzierająco...

Porucznik czerwony cały z wysiłku, zwrócił się do panienki, która blada jeszcze z wrażenia drżała nerwowo.

— Maleństwo moje — zaczął mówić pieszczotliwie — przestraszyło się, no już dobrze, dobrze, nie wiem doprawdy co mu się stało, pierwszy raz tak się brzydko znalazł, ale co zrobimy z sukienką!

Piękna panna odtrąciła nagle chylącego się do niej porucznika.

— Dosyć, słyszy pan?... Dosyć już mam pańskiego psa i pana też, przynajmniej na dziś — mówiła prędko wykrzywiając ironicznie precyzyjnie umalowane usteczka — to jest obrazek naszego przyszłego szczęścia, wieczne szczekanie, gryzienie, bicie, przekleństwa brr... i wiecznie ten pies! O o o... i rozpłakała się nieoczekiwanie.

— Ależ panno Irko, kochanie moje...

— Niech pan tak nie mówi do mnie, pan tego przeklętego zwierzaka kocha więcej odemnie tak, tak...

— Niech się pani uspokoi, co ma właściwie pies do...

— Proszę nie oponować, tak, tak on więcej znaczy dla pana niż ja... Nie dość, że się przez pana skompromitowałam przyjściem tutaj, to jeszcze pies rozdarł mi suknię, taką suknię! Modelową! — Panna Irka była w największej rozpaczy, schwyciła wreszcie kapelusz i wybiegła z mieszkania nie żegnając się z porucznikiem.

Porucznik nie ruszył się z miejsca, pochylił tylko głowę na piersi i siedział tak długo jak skamieniały zatracając zupełnie poczucie istnienia i czasu.

Mrok już zapadł i słał się po kątach pokoju, kiedy porucznik ocknął się z odrętwienia... Przeciągnął się i spojrzał ze zdziwieniem dookoła... — Czyżby naprawdę to wszystko miało miejsce tu w tym pokoju, to niemożliwe, to chyba jakiś zły sen — pomyślał. Poczuł naraz zapach jej ulubionych perfum i przytulił twarz do oparcia kanapy wdychając w nozdrza nikłą woń... Wszystko stanęło mu przed oczami wyraźnie: ona z wykrzywioną twarzyczką i słowa jej... jakże je pamiętał...

— Wszystko skończone... — szepnął.

— Hemm... — doleciało do uszu porucznika jakby stęknięcie jakieś od strony psiego posłania. Wzdrygnął się cały.

— To przez niego... — pomyślał i poczuł żal do Ralfa — zresztą może to było jego przeczucie... ha, stało się!

— Ralf! — zawołał cichym głosem.

Pies poruszył się gwałtownie i przypadł zaraz do pana z radosnym skowytem...

— Ralf, Ralf... — szeptał porucznik tuląc jego łeb do siebie...

— Hum, hum! — szczeknął pies i począł lizać w uniesieniu miłości i oddania ręce i twarz pana zbierając językiem łzy z zaciśniętych oczu..

Porucznik i jego pies powrócili do Warszawy w jaknajlepszej zgodzie i harmonji, porucznik tylko wychudł bardzo i stał się dziwnie smutny i apatyczny. Ralf jakby wyczuwał nastrój pana.. rzadko kiedy teraz szczekał, spoważniał bardzo i nie odstępował go ani na krok.

Zwykle po przyjściu do domu, porucznik zabierał z sobą Ralfa na długie spacery. Pies kroczył z powagą obok pana, patrząc na świat i ludzi dziwnie odległemi oczami, jakby wszystko wiedzącymi. Ralf stał się dorosły. Jego zainteresowania, jego cała psia natura nabrała pewnych cech zrównoważenia; wszelkie odczucia, miłość, uwaga koncentrowały się tylko na osobie porucznika, a resztę... traktował z doskonałą obojętnością.

Jesień była długa i ciepła — pan i pies błądzili najczęściej po parku Skaryszewskim wynajdując odległe zakątki. Porucznik zdawał sobie sprawę, że oddaje się we władzę melancholji, ale nie miał już sił, aby się bronić przed nią. Ogarnęła go dziwna obojętność na wszelkie sprawy świata, porzucił nawet książki, bo nie umiał skupić myśli na najbłahszym nawet temacie. Czuł instynktownie, że jedynie fizyczne zmęczenie może mu przynieść pewną ulge. Zmęczony chodzeniem po przyjściu do domu, walił się jak kłoda na łóżko i zasypiał mocno bez snów i marzeń. Pozwalał Ralfowi kłaść się na noc w nogach łóżka i opierając o niego swoje wiecznie teraz zimne stopy, ogrzewał je ciepłem psiego ciała.

Cały park jaśniał złotem i czerwienią liści mieniących się w słońcu całą gamą odcieni. Liście opadały z szelestem za lada powiewem wiatru ścieląc się na ziemi martwe i bezużyteczne. Porucznika drażnił suchy chrzęst liści pod nogami, skierował się więc w świerkową aleję, którą najlepiej lubił i siadł na jednej z ławek, machinalnie opierając swą rękę na łbie Ralfa.

Siedząca na drugim końcu ławki postać kobieca poruszyła się żywo i odwruciła wyraźnie w tę stronę. Porucznik nie zwrócił na to uwagi i nie zdawał sobie nawet wyraźnie sprawy z tego, że ktoś jeszcze siedzi na ławce. Patrzył z pod głęboko nasuniętego daszka na oczy na zielone świerki podziwiając ich różnorakie gatunki i myśląc z uczuciem nudy o powrocie do domu.

(d. c. n.)

TYGODNIK RADOMSKI

Koncert „Lutni" radomskiej

Hołdując maksymie: im rzecz lepsza, tem bardziej godna krytyki — przystępujemy do omówienia dorocznego koncertu najstarszej instytucji Radomia, T-wa muzyczno-dramatycznego „Lutnia".

Zacznijmy ab ovo. Mimo skromnej raklamy, sala teatru im. St. Żeromskiego nie ma normalnego wyglądu — mam na myśli publiczność, która liczniej przybyła tym razem, niż na inne tego rodzaju imprezy. Nastrój na sali swobodny, niemal familijny, bo też publiczność t „doroczna".

Koncert rozpoczyna nowe hasło „Lutni": „O, pieśni, leć!". Cóż to jest hasło? To zawołanie, które winno zwięźle, prosto i dobitnie streszczać w sobie istotę „rzeczy", do któ ej się ono odnosi. Tu natomiast spotykamy się z dość długim — jak na hasło — utworem muzycznym o nastroju raczej amoroso z nierzadkiemi diminuendami. Autorem jego jest p. Dalewski. I jeszcze jedna uwaga: hasło śpiewacze — to godło instytucji, to to samo — co sztandar pułku, czy organizacji, to credo chóru. Dlaczego więc zmieniać piękne hasło stare cenionego w świecie muzycznym kompozytora T. Joteyki, długoletniego ongiś dyrygenta i chluby tejże „Lutni".

A teraz p r o g r a m — rzecz nader ważna: figurują w nim trzy nazwiska polskie, z których Moniuszko reprezentuje 4 poważne utwory — a zwłaszcza „Sonety krymskie", punkt kulminacyjny koncertu. Zatem Moniuszko — największy pieśniarz, twórca opery polskiej winien zająć pierwsze miejsce w programie. Tymczasem tu jego miejsce zajął p. Dalewski, następnie dwaj cudzoziemcy, d o p i e r o na trzeciem i ostatniem miejscu pojawił się Moniuszko.

Wyżej wymienione usterki, które mogli zaobserwować znawcy (niestety niezbyt licznie zebrani na koncercie) nie zmniejszą stron dodatnich koncertu. Mam na myśli najpierw kompozycje p. Dalewskiego na chór mieszany a capella. Z tych znamy już „A jak poszedł król na wojnę" (Dwie dole). „Zawód" — to nastrojowa kompozycja do słów Tetmajera, który niejednego już kompozytora ku sobie pociągał. Nie znam partytury, jednak dosłuchałem się w niej pewnych reminiscencyj z Karłowicza i Walewskiego, co naturalnie w świecie tonów nie jest jeszcze plagjatem. „Dwa dęby", szeroko pomyślany utwór, przeładowany jest różnorakiemi efektami, które niezawsze mogą wypaść szczęśliwie, jeżeli nie posiada się odpowiedniego materjału głosowego. Wreszcie „Wieczorny dzwon", parafraza pieśni rosyjskiej do słów p. Dalewskiego (dlaczego zaznaczono w programie „pieśń rosyjska" rozstrzelonym drukiem — zwłaszcza przed „Sonetami krymskiemi" Moniuszki do słów A. Mickiewicza?) to melodyjna pieśń, zaczynająca się od mniej udanego naśladowania bicia dzwonów. Wina to może nietyle śpiewaków, ile kompozycji — niezbyt trafnego rozmieszczenia dźwięków w górnym rejestrze głosów żeńskich. Pięknie natomiast brzmiał tu głos p. J. Janowskiej w melodyjnej partji solowej na tle mormoranda chóru i w duecie z p. E. Nurczyńskim. Chór w kierunkuześpiewania poczynił wielkie postępy.

Imponująco wypadłyby „Sonety krymskie" Moniuszki, gdyby pierwsze miejsce na estradzie zajął chór, a nie orkiestra, a już koniecznie w „Ciszy morskiej" p. Janowska, jako solistka, której dobrze postawiony i dźwięczny sopran w pięknej kantylenie sonetu Mickiewiczowskiego byłby niezawodnie doskonałym pendant do nastrojowego charakteru utworu.

Śpiew solowy p. Dobosza — bodaj najmuzykalniejszego śpiewaka polskiego (ze względu na bardzo bogaty repertuar operowy, estradowy i religijny) — który bądź co bądź miał być atrakcją wieczoru, z powodu wadliwego ułożenia programu wypadł blado. Śpiewał bowiem p. D po zespołowych występach „Lutni".

Ostatni numer programu: orkiestra smyczkowa również pod dyrekcją p. Dalewskiego odegrała dwa utwory Moniuszki z op. „Halka" — Tańce góralskie i Mazura. Oba zbyt szybkie posiadały tempo, drugi zaś nie posiadał charakterystycznych cech narodowego tańca polskiego: akcentu na trzeciej części taktu i fantazyjnego polotu sarmackiego — co wszystko zdradzało pewne zdenerwowanie, a może przemęczenie dyrygenta — wszak pałeczka kapelmistrza orkiestrowego nie obca jest p. Dalewskiemu.

Konkludując: koncert bardzo udatny pod względem bogactwa oraz powagi programu i pod względem doboru sił wykonawczych stał na bardzo wysokim poziomie artystycznym, za co słusznie (nie z kurtuarji) publiczność oklaskami, a T-wo „Lutnia" kwiatami nagrodziła pracowitego dyrygenta — p. Dalewskiego.

Z. Mroczek.

Samorząd miejski m. Radomia

Na początku bieżącego miesiąca odbyło się posiedzenie rady przybocznej kierownika tymczasowego zarządu m. Radomia. Posiedzenia tej rady, reprezentującej w pewnej mierze czynnik obywatelski Radomia są zawsze żywo obserwowane przez ogół mieszkańców, gdyż z ogłaszanych sprawozdań z posiedzeń rady przybocznej można się chociażby w przybliżeniu orjentować, w drogach naszego samorządu.

Środowe posiedzenie rady przybocznej miało charakter niemal ściśle sprawozdawczy. Zapoznano się ze sprawozdaniem z wykonania budżetu za rok 1932/33, ze sprawozdaniem komisji rewizyjnej; — kwestja ustalenia strefy przemysłowej dla Radomia nie została definitywnie załatwiona — przekazano ją do rozpatrzenia i zaopinjowania specjalnie w tym celu powstałej komisji. Następnie uchwalono prolongatę zaciągniętej w polskim banku komunalnym pożyczki w wysokości 30 tys. zł., utwierdzono regulaminy prac komisji emerytalnej, wymiarowej i lekarskiej dla pracowników miejskich. Ponadto rada przyboczna uznała konieczność powołania komisji likwidacyjnej szkoły rzemiosł.

Z kolei nastąpiły komunikaty komisarza Pietrusiewicza — a więc oficjalne zakomunikowanie wyniku arbitrażu w sprawie zatargu z elektrownią belgijską o cenę prądu; była tedy mowa o sukcesie czterogroszym, pozatem komunikat o powołaniu komitetu plantacyjnego i tp.

Końcową część obrad wypełniło przemówienie ppłk. Jażdżyńskiego, dotyczące spraw bezrobocia na terenie Radomia.

Kawiarnia B. Przybytniewski – codziennie dancing



Z TEATRU

Lekkomyślna siostra

komedja w 4-ch aktach Wł. Perzyńskiego

Przez cały czas sztuki rośnie w widzu jedno radosne uczucie, z początku podświadomie, a potem potęgowane i jakby pieszczone z rozmyślnym smakiem: oto, mości panowie, dziś takie lekkomyślne siostry są już poza sferą możliwości, bajorko Topolskich straciło palący posmak aktualności; pospolite świństewka, jakie wyczyniają stały się ich prywatną sprawą, straciły wszelką pretensję do tak zwanego odzwierciadlania epoki. Dlatego też ta komedja, w on czas budząca gromy oburzenia na dulszczyznę środowiska ciągle jeszcze wabiąca nas urokiem swej nieodpartej, trwałej, scenicznej wartości!, obecnie, w tych niedocenianych, zbytnio obmawianych czasach raz po raz w toku akcji zmusza nas do młodego, zdrowego śmiechu. Na te perypetje biednej „puszczalskiej", która, jako marnotrawna córa, wróciła na tak zwane łono rodziny, patrzymy dzisiaj z zajęciem, ale — bez przejęcia, myśląc sobie z ulgą. Jak dobrze, że to już przeszło i nie wróci! Dzięki Ci, dobra Boziu, za tę odrobinę prawdy w naszem trudnem, ale uczciwem życiu.

W samej rzeczy, o co tyle hałasu?

Mówiąc po ludzku, Mania puściła się. Obmierzł dziewczynie z temperamentem mąż, niedowytrzymania dobry i ślamazarny, zgraja braciszków, którzy niemal siłą wypchnęli ją zamąż, byle zepchnąć pannicę z karku, zapachniało jej strojne, dostatnie, i — co tu dużo gadać — łatwe, próżniacze życie.

Czy uwodziciel był za stary i nie wygodził „lekkomyślnej siostrzyczce", czy (znów mówiąc bez ogródek) puścił ją „kantem", niewiadomo, bo Mania mówi o tych sprawach półgębkiem monosylabami. Raczej musimy się domyślać, że przeszła tam całe piekło udręki, a, chociaż mówi o tem ze spojrzeniem postrzelonej sarny, potrosze nas to drażni. To uczucie stale towarzyszy głównemu uczuciu zadowolenia, że cała ta historja należy do niepowrotnej przeszłości. W tem sęk właśnie: Mania jest ujmująca, czujemy do niej stale rosnącą sympatję, a źli jesteśmy na nią coraz więcej. Myślimy sobie: czegóż, u licha, ta gęś chce właściwie!?

Nie może chyba wymagać, żeby Topolscy przyjęli ją z otwartemi rękami! Nie udawajcie, kochani ludkowie, nikt z was, gardzący Topolskimi, nie ucieszyłby się z powrotu siostruni z takiej wyprawy. A przecież to działo się, zważcie sobie, trzydzieści lat temu, w epoce, kiedy dorastające panny, składając buzię w ciup i falując tonem z emocji, wychodziły z pokoju, gdy się mówiło o urodzeniu dziecka. Takie Manie miały do wyboru: albo zwalić się jakiemuś zarobkującemu mężczyźnie na łeb w charakterze prawowiernej małżonki, albo — skwaśnieć na ocet siedmiu złodziei w zakamieniałem staropaństwie, z poczuciem niesłusznej od losu krzywdy, zatruwając się niewyżytym sokiem macierzyństwa. Przeklęta wtedy, jakże śmieszna, zabawna dziś, epoka papilotów w długich włosach i barchanowych dessous.

Wiedeńska eskapada Mani w tych czasach była rzeczywiście skandalem: całe miasto musiało wtedy wytykać Topolskich palcami, a różne legalne jędze domowe wyły z pasji (i utajonej zazdrości) na samą wzmiankę o Mani. Tak, czy inaczej — sprawa była rodzinnem nieszczęściem, a powrót — bodaj spadnięciem cegły na głowę.

Co z taką robić?

Umieć, nie umie przecie nic. Pokazać się z nią między ludźmi niesposób: zrobią moc afrontów, a każdemu bić gębę trudno. Żeby żyć, trzeba łgać. Można się puszczać, mężowi rogi wystawić piętrowe, ale to musi być robione w sposób powszechnie milcząco przyjęty, ustalony przez społeczne obyczajowe kanony. Rozumie to Hela Topolska i dlatego jest tak zwaną uczciwą kobietą.

Co zatem robić z Manią?

Niema nic, nie umie nic, jakby tam nie było, jest właściwie parszywą owcą, która odbiła się od swojego stada, a innego nie znalazła.

Nie łudźmy się: gdyby nawet została w domu swej kochanej rodzinki, życie ich wszystkich razem byłoby istnem piekłem.

Czego ta Mania chce od nich. Ma jedną możliwą drogę do odrodzenia: wrócić do męża. Cymbał o chorobliwej dobroci zapomni przeszłość, da wszystko, niczego wzamian nie żądając i do djabła — myślimy sobie — łapże, Maniu, okazję, będą jeszcze z Ciebie ludzie!

Ale gdzietam! Ani myśli wracać — jeśli już nie do męża, to choć do dziecka.

Dlaczego?

Ano, bo go (męża) . . . . nie kocha.

A tego starego dryblasa w Wiedniu kochała?..

Tak, trzeba to sobie też uświadomić: ci Topolscy to hołota, ale i ówczesny święty teżby sobie z Manią nie poradził.

Poprostu dlatego, że z takiego splotu wydarzeń prawie nie było (poza t. zw. ulicą) wyjścia.

I tu dotykamy najciekawszej sprawy: co myślał naprawdę Perzyński o tej Mani? Dlaczego on, taki urodzony majster sceny (miał lat 25, pisząc tę komedję!), pozwolił sobie na taką nieskomplikowaną, bądź co bądź, łatwiznę moralizatorstwa?

Wtedy patrzono na tę sztukę z zapartym oddechem, zgrozą, oburzeniem. Pensjonarki lały łzy nad losem Mani, męska sztuba tam i sam rżnęła kozikiem ogrodowe ławki jej imieniem. Jak to już dawno, panowie!

„Odbronzowiliśmy" nie takie tragedje, czas ściągnął z kłamliwych wyżyn większe niedole, żółwi, ale ustawiczny postęp prawdy ciągle odkaża nasze życie z tego załgania przeszłości.

I skoro pomimo wszystko ta komedja tkwiąca wszystkiemi korzeniami w zamierzchłej przedwojennej epoce, nie straciła niemal nic ze swej czarującej świeżości, to zasługa już nie tematu, ale jakiegoś pasjonującego zmysłu sceny, który był rdzeniem talentu Perzyńskiego. Ta pozornie niby powierzchowna, a w samej rzeczy niezmiernie bystra i dociekliwa obserwacja ludzi, ich spraw codziennych tworzyła pod jego piórem wymarzone role dla aktorów. Wszyscy Topolscy — Hela, Henryk, Władysław, Janek, nie mówiąc już o tej kuzynce, wyjeżdżającej wiecznie ze swoją mamą, aż się proszą, żeby ich grać, włażą aktorowi prawie do gęby ze swojemi „kwestjami". Tylko Mania, jakby siłą kontrastu, jest papierową figurą. Na to niema rady i Perzyński nic nie zawinił. Jakeśmy sobie wyżej wymędrkowali, w takiej koncepcji tej postaci, w takiem jej dramatycznym konflikcie nie było zgoła materjału na zrobienie z Mani żywego człowieka.

Zatem — jeden z tajemniczych paradoksów talentu: istota społeczna komedji, dominująca w niej w swoim czasie, zeszła niejako w cień. Ciężar gatunkowy sztuki przesunął się z tej płaszczyzny, (uczynił z niej dokument — jakże prawdziwy! — odległej epoki), — na to, co w teatrze jest najistotniejsze: tęgie role aktorów. Temi rolami komedja będzie się trzymać mocno na nogach jeszcze i wobec naszych wnuków.

Nie dopatrujmy się w niej tylko żadnych „zagadnień", ani „problemów" i tych tam wogóle szumnych rzeczy.

Jest szmat życia, postokroć gorszego, niż nasze, jest pasja do sceny, której ramy skondensowany, nabrzmiały prawdą djalog zdaje się rozsadzać — czegoż chcecie więcej?

Dzisiaj dramat Mani przyjmujemy potrosze z niedowierzaniem, jako rzecz samą przez się nieprawdopodobną. Dziś powiedzielibyśmy o Mani, że (spróbujcie zaprzeczyć!) zrobiła karjerę. Jej „puszczenie się" byłoby sprytnym środkiem do urządzenia sobie t. zw. przyszłości. Mania po takiem przejściu nabrałaby dla naszego brata — mężczyzny (niema co — nieudolny to twór ludzki!) szczególniejszego powabu. Miałaby po kolei kilku mężów, szalałaby w rewji, sporcie, tuziny bubków nadskakiwałoby jej, jak pińczerki Nie wierzę, aby się zrzekła takich 500 tysięcy (za gruba suma!) — zresztą, nie chce mi się jakoś wierzyć, aby i ówczesna Mania była wtedy do tego zrzeczenia się taka skora...

„Lekkomyślną siostrę", chwalić Boga, widziałem już trzy razy w życiu. 11 lat temu grali ją u Szyfmana w Małym: Jaracz, Osterwa(!), Przybyłko - Potocka (w roli tytułowej).

Jakieś 2 lata temu znów dano ją w Małym. Przybyłko przeszła na Helę Manią była Modzelewska, sam Stanisławski reżyserował i grał Henryka, Daszyński był Władysławem, Grabowski łobuziną — Olszewskim, kuzynką-plotkarą — Zimińska. —

Widzę to przedstawienie, jakby się odbyło wczoraj, pamiętam kapitalne wytarte lisie futerko Zimińskiej i szlochy Mani.

Nie lubię komplementów, ale po sprawiedliwości muszę przyznać, że nasi radomscy aktorzy nie potrzebują się wstydzić tego porównania! Nasza Jabłońska była stanowczo lepsza od Modzelewskiej. Wesołowski miał więcej wdzięku od Bielicza, ale ten ze swoim trochę wytartym cynizmem, kto wie, czy nie stworzył żywszej postaci. Bardzo prawdziwy Fertner. Wyrazista choć trochę przeszarżowana pani Płonowska Dobra p. Zahorska. (Trochę zamało wyrafinowania, zbyt dużo ciągłej histerji).

Stanowcze zastrzeżenia tylko co do pana Nawrockiego jako Władysława i p. Jabłońskiego-Olszewskiego. Z tym Władysławem wogóle nieporozumienie:, toż to był skończony niedołęga, zabijający żonę swoją dobrocią! Takiego bęcwała musimy wyobrażać sobie jako zbiedzonego ślamazarę, zaniedbanego w stroju, nieogolonego, (chyba w okularach)? Ja osobiście udekorowałbym go jeszcze celuloidowym kołnierzykiem i krawatem zsuniętym ze spinki. W radomskiem wydaniu ciemięgowaty Władzio był chwackim chłopem, potrząsającym dumnie swą bujną czupryną. Mówił kwestje tak ostro, że nie jedną pannę brała ochota na widowni. Myślała sobie pewnie: „czego chce ta Mania? żeby tak na mnie.."

Rzeczywiście kiedy Władysław pytał się rodziny: „czemu ona taki wstręt czuje do mnie"? trudno na to było w takiem postawieniu roli znaleźć odpowiedź.

Niezbyt miła niespodzianka z panem Jabłońskim. Doskonały kapitan Schlettow nie dopisywał nam tutaj. Jego Olszewski był tak trywialnym łobuziną, tak bezceremonjalnie zgrywał się na premjerze robieniem perskiego oka do publiczności, że zatracił dystans między sobą, a partnerką.

W życiu taki nieskomplikowany dandys nie tylko nie mógłby strzyc perfidną Helenkę z gotówki, ale przy pierwszej próbie „pożyczki" byłby bez trudu spuszczony ze schodów.

Bieg premjerowy wiodła niewątpliwie pani Jabłońska, która z nieomylnym jakimś instynktem trafiła w styl Perzyńskiemu właściwy. Z trzech lekkomyślnych sióstr (Przybyłko, Modzelewska i ona) jakie w swem długiem życiu widziałem była chyba najlepszą. Niema co mówić: czy nasi aktorzy codzień jadają obiad, niewiadomo, ale że dobrze służą Radomiowi swą pracą ofiarną, to więcej, niż pewne.

B. W.

Signum temporis

Ostatnio „Ziemia Radomska" zamieściła list „Jednego z wielu czytelników", który och zciła mianem „Głosu szarego czytelnika". List ten będący do pewnego stopnia wyłamaniem się z pod sztandartowego (nie sztandarowego!) typu artykułów — w wyjątkach przedrukowujemy niżej:

W naszym Radomiu, w dziedzinie pracy społecznej pojawiać się poczyna groźna choroba, którą w zarodku trzeba zdusić. Zródłem jej są ambicje osobiste pewnych jednostek, rozpychających się w sposób nieprzyzwoity, a politycznie szkodliwy, usiłujących wykorzystać znaną bierność radomian dla znalezienia sobie miejsca. Znajduje to wyraz w miejscowej prasie, oraz w głosie opinji. Metody stosowane przez różnych panów z dużym tupetem pouczających społeczeństwo z kaznodziejskiej trybuny, przyodzianych w togę apostołów moralności, nie od dziś wzbudzają niesmak wśrod ludzi pracy pozytywnej, a radość wśród demagogów, którzy są widzami tej źle aranżowanej komedji.

W okresie, kiedy i sytuacja polityczna i społeczna domaga się gwałtownie intensywnego zorganizowania, takie formy „inicjatywy" jakie obserwujemy w Radomiu zasługują na zdecydowane napiętnowanie jako wyraz szkodnictwa.

Dysku ja nad kwestją „prezesowską", nosząca wyraźnie charakter napaści osobistych, w oczach czytelnika pism radomskich musi wywołać zdumienie, a w dalszych skutkach zniechęcenie do czynnego udziału w życiu organizacyj. Zbyt brutalnie zademonstrowano społeczeństwu intencje kaznodziejów, zanudzających czytelników powtarzaniem banałów moralizatorskich. Mamy tego już dość.

Słychać głośno o poczynaniach w kierunku zorganizowania T-wa Przyjaciół Teatru w Radomiu i T-wa Przyjaciół Bibljoteki Miejskiej, oraz w związku z tem — poradni czytelniczej. Inicjatywa godna poparcia. To są konkretne zagadnienia. Rozwiązywanie ich wymaga pracy codziennej i ludzi tej pracy.

Ale jednocześnie dochodzą wieści o jakiejś organizacji, która ma popierać sztukę, literaturę... już nie wiem, czy i nie astronomję. Zdumiony „szary człowiek" pyta się — poco to? Poco rozdrabniać energję?

Apelujemy do naszych „wielkości":

Dogadajcie się z sobą! Uporządkujcie życie organizacyjno-społeczne, podzielcie „funkcje" i wówczas wezwijcie nas do roboty. Przestańcie stwarzać fikcje i bańki mydlane. Wykażcie się przed nami, t. zw. „społeństwem" umiejętnością kierowania pracą grupową, bo kazań waszych mamy wystarczającą już ilość.

Jeżeli się nic nie zmieni, to niezadługo będziemy widzieli „samomianowanych" generałów bez armji.

A my „społeczeństwo" znajdziem sobie kierowników, nie szukając ich w „kandydackich" szeregach, ani na ambonach fałszywych proroków.

* * *

List powyższy jest bezwątpienia bardzo ciekawy, a im bardziej ton jego jest agresywny, tem bardziej budzi zdumienie, że oto wydrukowano go — właśnie w „Ziemi Radomskiej"...

NIEDZIELA 17 3 Adwt., Łazarza b.	O godz. 10 w kościele garnizonowym celebra biskupia.
PONIEDZIAŁEK 18 Oczekiw. N. M. P.	
WTOREK 19 Urbana V p., Nem.	
ŚRODA 20 Teofila i Tow. m.	
CZWARTEK 21 Tomasza ap.	
PIĄTEK 22 Zenona i Honorji.	
SOBOTA 23 Wiktorji p. m.	Kup świąteczny numer „TYGODNIKA RADOMSKIEGO"

Szopka Radomska

I.

Otrzymaliśmy list tej treści:

Szanowny Panie Redaktorze

Redakcja prosiła, aby ocenić wiersze „Błyskawicy" — oto ocena:

Błyskawico! Chociaż
Jesteś boskim tworem
To jednak Twe wiersze
Czuć zdechłym Azorem
Dla twego więc dobra
Radą Ci dziś błyskam
Porzuć muzę, a Cię
Serdecznie uściskam!

Z poważaniem
Lu ka

Dla porządku dodajemy, że w zacytowanej ocenie brak okrągło cztery — czterowiersze, ale i poz stałe dwa dostatecznie uwypuklają pełen objektywizmu i serdecznej życzliwości pogląd Luki na twórczość Błyskawicy, wyrażony w wytwornej poetyckiej formie.

II.

SOCJOLOGJA

PYTANIE: Na jakie dwie grupy dzieli się społeczeństwo radomskie?

ODPOWIEDŹ: Na bojowców i inwalidów. Pierwsi wszystkiego się boją, a drudzy nie mają rąk, nóg, głów a tylko dobre plecy.

(Nadesłane przez **Victora**)

Ingres J. E. ks. biskupa polowego

Jak się dowiadujemy w dniu 16.XII 1933 r. o godz 18.23 przyjeżdża do Radomia J. E. ksiądz Biskup Polowy W. P. Gawlina. Na stacji kolejowej nastąpi uroczyste przywitanie przez władze i delegacje wojskowe.

Bezpośrednio po przyjeździe Ks. Biskupa odbędzie się ingres w kościele garnizonowym.

Dnia 17.XII.33 r. o godz. 10-ej odbędzie się w kościele garnizonowym uroczyste nabożeństwo, następnie odsłonięcie i poświęcenie płyty ś. p ks. Wyganowskiego Bronisława, zmarłego proboszcza parafji wojskowej Radom.

Z TEATRU

„Tak się zdobywa kobiety"

Lekka komedja w 4 aktach Ludwika Verneuila ukazała się w teatrze im. St. Żeromskiego po raz pierwszy w piątek, dn. 15 grudnia br. o godzinie 8 wiecz. Premjera tej komedji o tak fascynującym tytule wywołała zrozumiałe zainteresowanie zarówno wśród płci pięknej jak i mężczyzn. „Tak się zdobywa kobiety" reżyserja p. J Bielicz. Główne role odtworzą pp. Jabłonowska, Płonowska, Zahorska, Bielicz, Jabłoński, Fertner, Kitka-Sokołowski, Nawrocki i Skatulski.

Bon, ulgowe do teatru im St. Żeromskiego wydaje dla Związków, Organizacji, Stowarzyszeń—Wydział Oświatowy Magistratu.

ERRATA

W numerze 9-tym „Tygodnika" w noweli p. Stefana Malczewskiego wkradło się parę błędów, zniekształcających sens zdań. M. in. w zdaniu „nazywali go Kubem, potem kobietą, wreszcie kubusiem" — powinno być zamiast „kobietą" — kubistą (8 wiersz w I-szej szpalcie), oraz w zdaniu „Musiał często przełykać nadmiar śliny i niektóre przeżycia duchowe wywołują ogromne mdłości" — zamiast fatalnego „i" powinien być przecinek.

Wróg radja

W orgji dziwactw ludzkich, któremi dobrze od czasu do czasu się zająć, nie daje mi spokoju jakiś angielski oryginał, na którego natrafiłem w tym tygodniowym przeglądzie.

Zresztą już nieboszczyk. O śmierci jego donosi pewien dziennik. Oto dziwaka znaleziono w mieszkaniu z wyraźnemi śladami otrucia jakimś silnym narkotykiem. Obok denata leżał list zaadresowany do komisarza najbliższego urzędu policyjnego. Desperat pisze:

— Z powodu śmierci mojej nie należy nikogo winić. Umieram, bo życie zatruła mi dostatecznie radjostacja w N., której odbiór był zawsze fatalny. Rad. jestem, że odchodzę. Ostatnią moją prośbą jest, aby pochowano mnie na głębokości conajmniej 20 metrów. Spodziewam się, że tam dopiero będę miał święty spokój.

Ale musiała temu dziwakowi zależć za skórę hałaśliwa cywilizacja!

(J. Kurek)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ARYTMOGRAF

Za rozwiązanie 10 punktów

1	1	2	3	4	5	6	3	4	7
2	8	9	10	11	10	6	3	9	5
3	7	10	9	2	9	8	12	13	8
4	13	8	14	2	15	1	16	1	17
5	18	12	19	1	13	10	11	20	10
6	4	2	15	1	5	4	11	19	14
7	20	3	9	14	11	10	11	1	19
8	11	4	19	1	19	14	8	11	10
9	8	18	1	13	1	20	3	6	10
10	5	10	18	10	19	1	6	3	18
11	9	21	10	20	3	2	3	4	16

W miejsce liczb należy wpisać odpowiednie litery i w ten sposób utworzyć 11 wyrazów 9-cio literowych o podanem znaczeniu. Rząd 2 oraz 8 czytany pionowo da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1) zaniewidzieć, 2) kult szatana, 3) rzucać (wspak), 4) badacz i znawca duszy ludzkiej, 5) ptak kurowaty z rodziny głuszców, 6) przyrządy do mierzenia siły dźwięku, 7) kontrolujący z urzędu zakłady naukowe, 8) wykonywujący przymus na kimś. 9) inaczej baranina, 10) ciasto kruche z migdałów, 11) wybawca.

DZIWNY SZYLD

za rozwiązanie 5 punktów

UCZENIE

Należy odczytać właściwe znaczenie.

W numerze dzisiejszym rozpoczynamy 2 turniej szaradowy na punkty. Dla uczestników Redakcja przeznacza 3 nagrody.

Przy każdem zadaniu podawana jest ilość punktów zaliczanych za jego rozwiązanie, wspomniane nagrody przyznane będą uczestnikom, którzy zdobędą największą ilość punktów. Do nadsyłanych rozwiązań dołączać należy wycięty z odnośnego numeru Tygodnika kupon konkursowy.

Kupon konkursowy
TYGODNIKA RADOMSKIEGO
Należy wyciąć i przesłać wraz z rozwiązaniem. № 1

ANEGDOTY

PRZY MATURZE

— Pod jakim względem stali wyżej od nas Rzymianie?
— Przedewszystkiem nie potrzebowali uczyć się łaciny?

W KAWIARNI

— Wczoraj czułem się tak kiepsko, że myślałem już że ze mną koniec, a dziś otrzymałem atalną wiadomość.
— I pewnieś się pan wściekał, żeś wczoraj nie umarł!

* * *

— Zna pan Rozenbauma?
— Nie znam
— A Hosendufta?
— To już wolę Rozenbauma!

CENNIK OGŁOSZEŃ: Wiersz jednoszpaltowy wysokości 1 milimetra w tekście (układ trzyszpaltowy) 50 groszy; strony okładkowe (układ czteroszpaltowy): 2-ga i 3-cia wiersz jednoszpaltowy 35 groszy; 4-ta zewnętrzna — 40 groszy. Wiersz jednoszpaltowy za tekstem (w układzie czteroszpaltowym) — 30 groszy. Drobne za wyraz 10 groszy, wyrazy wytłuszczone — 20 groszy.

PRZEDPŁATA miejscowa wraz z odnoszeniem do domu i zamiejscowa wynosi: miesięcznie 95 gr., kwartalnie 2 zł. 85 gr., rocznie 11 zł. 40 gr.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Radom, Żeromskiego 28, telefon 31-83. Konto P. K. O. 65.770.

Redaktor: STANISŁAW TRZEBIŃSKI. Druk i Wydawca: Zakłady Drukarsko-Litograficzne „Jan Kanty Trzebiński" w Radomiu.